

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 6 stycznia 1917 roku.

Nr 1.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARJERY.

11

Ksiądz Zalewski chrząkał; pan Gleba zakrył się cały wypuszczanym obficie dymem fajeczki. Pani Polewska ze spuszczonemi na swoją robótkę oczami usiłowała ratować sytuację przerwą:

— Zosiu! Skarć dzieciarnię za te krzyki. Mademoiselle Céleste nie ma żadnego na nich wpływu.

— Chodzi o to — brnęła dalej wyszła już z formy, niezrażona przerwą ciotka Benisia, w swej dyskusji na oślep — aby kobiety żyły syte miłości, tak, jak wy żyjecie. Aby kobiety nie oczekiwały rzucanych im, jak z łaski, resztek uczucia z pogardą donżuanów dla pogardzanych wiecznie, głodnych łask — Messalin. O! ci donżuani, tak pięknie opiewani przez waszych poetów, i te nie-szczęsne, Messaliny wiecznie pogardzane przez stworzoną przez was etykę! Kobieta-syta miłości, jak wy, i karmiona dowolnie od sekundy zbudzenia się jej zmysłów za wiedzą moralności i etyki, — straci swoją naduczuciowość, nadwrażliwość, obłudę i ukrywaną ze wstydem chorobliwą wskutek murosowych postów zmysłowość. I, chodząc po świecie krokiem pewnym i zdrowym — wyleczy się, jak wy, z niedokrwiistości, bladaczki i ze wszystkich innych wad, które was w pożyciu z nią tak rażą; z tych wszystkich tajonych kobiecych wad, które — zduszone wśród bezsensownych nocy — gangrenują dusze. Równoprawnieniem nazwę tylko waszą zgodę na monogamię, obowiązującą obie zarówno płcie. Poza tem może

istnieć jedynie zobopólna swoboda miłostek, która dotychczas daje jedynie wam ową wyniosłą pewność siebie, właściwą wyłącznie sytym królom wobec kryjących się, wiecznie zawstydzonych, łaszących się głodnych żebraczków, wdzięcznych za ochłap uczucia niewolnic. Oto jedyna radykalna recepta w kwestyi, co lepsze, czy zobopólna ascetyczna nadwrażliwość, czy zobopólna zwierzęca siła? Oto najskuteczniejsza rada na tragedję pożycia dwóch płci, tak różnych, że zrozumieć się wzajemnie nie są w stanie — zakończyła ze spóźnionym sztucznym uśmiechem po niewczasie — swoją „gaffe“e, potwierdzoną przez zbyt gorliwe szydelkowanie pani Polewskiej i zbyt wymowne milczenie księdza Zalewskiego.

— Ja w imieniu mężczyzn — ratował żartem uciążliwą ciszę pan Gleba — głosuję za dawnym porządkiem. Godzimy się już od biedy nawet na dawne cierpienia małżeńskich nieporozumień.

— Byłam tego pewną — zdecydowała z jadem swoje fiasko ciotka Benisia. — Wiem, że nie chodzi tu o ulgi kobiet, lecz jedynie o wasze ograniczenia.

Dokoła zapanowała bardzo nie-miła cisza. Pani Polewska daremnie głowę sobie suszyła, w jaki sposób ten zgrzyt załagodzić. Na niemych twarzach malowało się współczucie dla ułomnej, wypelzłej stanszki, która po raz pierwszy w życiu okryła się śmiesznością ze swemi pretensjami.

— Pi! pi! — drwinkowały zaciśnięte od powstrzymywanego uśmiechu usta pana Gleby — w starym piecu dyabeł pali!

— Biedaczka! — litowały się o-puszczone w dół oczy księdza Zalewskiego. — Przecież ona właściwie nie zakosztowała nawet monogamii!

— To był wybuch szczerości — westchnęła z niemem współczuciem panj Polewska.

— Tem większy nietakt — zakonkludował mimowolnym ruchem ręki, patrząc w obłoki, wyrozumiały wiecznie ksiądz Zalewski.

Z placu tenisowego rozlegały się niezmordowanie: — Game, out, net, set.

— Dzieciaki! Bardzo proszę u-ciszyć się! — strofowała rozbawioną dzieciarnię pani Polewska, szczęśliwa z wynalezionej okazji przerwania zbyt wymownej ciszy.

— Zabawa ich niebawem się skończy — mówiła zmęczonym głosem ciotka Benisia, aby coś powiedzieć. — Lada dzień powinien nadjechać z Warszawy zaangażowany dla nich korepetytor. Wie ksiądz, jaki dziwny traf zdarzył się z tem ogłoszeniem, w którym nie podałyśmy ani miejscowości, ani nazwiska? Oto jako pierwszy kandydat zjawił się Roman Rudnik. Ksiądz zapewne pamięta jego matkę, primo voto Horską. Naturalnie, że przyjąłam jego kandydaturę, sprawdziwszy zresztą przedtem listownie, że to utrzymujący się specjalnie z korepetycyj chłopek, bardzo zany, pracowity i zdolny. Po porozumieniu się z Polewską, zgodziłyśmy się na ten wybór tem skwapliwiej, że nie mogłam nie czynić sobie wyrzutów z powodu zupełnego zapomnienia o jego istnieniu. Niezależnie od tego, czy matka jego była winna, czy niewinna — należało było przecież pomyśleć oddawna o tym chłopcu, podać mu rękę i pomódz w zdobyciu sobie stanowiska.

— Ale ciocia w tym swoim nadpadzie dobroci — objaśniała pobłażliwie pani Polewska — zapomniła o tem, że zaprosiła w swym stałym kulcie rodzinnym jednocześnie do Jędrzejewic i jego przyrodniego brata, doktora Horskiego. A panowie ci są od lat w najgorszej ze sobą komitywie. Podobno stosunki ich, zawsze nieświatne, są obecnie zupełnie zerwane.

— Ależ zapominasz, moje dziecko, że zaprosiłam doktora Horskiego na wieś, nie przewidując jeszcze wtedy, że dowiem się o istnieniu pana Romana Rudnika, którego nigdy w życiu dotąd nie widziałam.

— A wie ciocia, co ja przewiduję? — prorokowała pani Polewska, nie opuszczając ani na chwilę swojej włóczękowej robótki.

— ?

— Oto, że ci panowie dowiedzieli się o tych wspólnych zaprosinach i, aby uniknąć niemiłego spotkania, zrzekną się Jędrzejewic i jeden i drugi. Rzecz prosta, że mnie zależy najbardziej na korepetytorze, aby chłopaki zbytnio nie zbisurmowały się wśród wakacji na wsi.

— A mnie zależy bardziej na Horskim — mruknęła zagadkowo pełna wiecznych planów ciotka Benisia.

— Ciekawą jestem — zaczerwieniła się pani Polewska z intuicyjną kochającej matki — co za plany nasz Meternich rodzinny wykombinował?..

— Ciekawość — pierwszy stopień do piekła — zbyła ją porozumiewawczo ciotka Benisia.

— Najpierw ziarno, a potem posiew. Narodź się, co Pan Bóg da. Zobaczysz. O korepetytora nie martw się. Po za Rudnikiem, mamy jeszcze kilka innych ofert; niema więc żadnej obawy. W ciągu tygodnia rzecz musi się rozstrzygnąć. Będzie albo on, albo kto inny.

Zacęły mówić o Horskim. Pani Polewska nie знаła go osobiście, lecz słyszała, że ma duże dochody, że jest bardzo lubiany i ceniony, miły i elegancki.

— Petite maman, — wtrąciła zmęczona tenisem panna Zosia — czy to ten sam, który nie wyraża się inaczej o księżnie Eustachowej, kandydatce do tronu, a pierwszej damie, nie tylko stolicy, lecz całego kraju, jak „ta pocziwa Eustachowa“.

— Ten sam — uśmiechnęła się pani Polewska, objaśniając, że doktor Horski jest trochę przejętym swoją klientelą, przeważnie z high-life'u. — Faktycznie tak księżnę nazywa. Trzeba mu darować tę słabośćkę. Il aime à cracher des grands noms.

— Ile lat temu wyjechała z kraju ta piękna Irena? — badała z

zaciękaniem tradycje rodzinne panna Zosia.

— Jeszcze ciebie na świecie wtedy nie było. Ostatnim jej etapem były właśnie Jędrzejewice, w których przed 19-ma laty flirtowała z tym samym doktorem Horskim.

— Czy to prawda — badała panna Zosia — że ona nie chciała zostać księżną? Jej mąż ma być monstrualnie brzydki. Podobno ciotka Benisia wpłynęła listownie na jej ostateczną decyzję.

— Tak — zgodziła się z chlubą ciotka Benisia. — Na skutek prośby jej matki — napisałam do Ireny list z pożądanym rezultatem, za co otrzymałam szczerze podziękowanie od starej. Lecz Irena zadowolniła się jedynie przysłaniem kanty, zawiadamiającej o ślubie. A nie podziękowała już nawet za depezę gratulacyjną. Sądzę, że czuła do mnie żal, iż zaprzestałam ongi wysyłać jej miesięczną zapomogę na kształcenie się w śpiewie. Uczyniłam to nie wskutek jej niefortunnych scenicznych debiutów, które kładłam na karb zawodowego niedoświadczenia, lecz zraził mnie fakt, iż zarzuciła operę, a wstąpiła jako szansonistka do tinglu. Zresztą jeszcze i inne złe wieści o niej dochodziły.

— Jakie wieści? — zapytała ze śliczną naiwnością panna Zosia.

— Jakież plotki! — zbyły ją z tajemniczymi uśmiechami. — Dość, że stosunki zerwały się.

— Co to? Jeszcze listy? — zdziwiła się ciotka Benisia na widok wchodzącego z tacą starego Tomasza. — Tym pociągami poczta rzadko co przynosi. — Rozpieczętowała kopertę:

— O wilku mowa, a wilk tu. Wyobraźcie sobie państwo — tłómaczyła po przewertowaniu — to ten niemądry pan Romek wybrał sobie najgorszy towarowo-osobowy pociąg z czterema przesiadaniami. Za godzinę tu będzie. Niech Marcin bez zwlekań — wydawała rozkazy — zaprzęga bułane do bryczki i na stację rusza.

— Z kolacją możnaby też poczekać aż do jego przyjazdu — zaproponowała pani Polewska.

— W takim razie — zdecydowała ciotka Benisia — każę wam przynieść tu tymczasem zakąskę.

Młodzi, rozgrzana zakończonym tenisem, zaciękająca dolatującymi zdawała rozporządzeniami ciotki — przybiegła z gwarem ptactwa badać, co się stało.

12-letnie bliźniaki, Janek i Wacek, zdrowe, jak rydze, chłopaki — przyjęli wiadomość o przyjeździe korepetytora z wyniośle maskowanym niepokojem, czy czasy ich swo-

body przypadkiem już nie skończyły się? Dziesięcioletnia, upita do nieprzytomności powietrzem Hala, zziębnięta całodzienną bieżącą, nie czując nog ze zmęczenia — rzuciła się na ławkę, z głową, jak ołów ciężką, z dziwnie nielogicznym pragnieniem, aby nie spostrzeżono, jak jest senną i nie nakazano jej przed kolacją i przed przyjazdem korepetytora położyć się do łóżka. Marzenie jej nie spełniło się.

— Janku! — zdecydowała matka — zaprowadzisz do sypialni Halę, która pożegna się zaraz z ciocią i gośćmi; i pójdzie w tej chwili spać.

— Zaraz: spać i spać! — broniła się tak śmiesznie Hala, aż goście usta sztucznie zaciskali, a Janek i Wacek głośnym śmiechem wybuchnęli. — Zaledwie człowiek wstanie — zaraz każą mu kłaść się do łóżka. Tak codziennie: ubieraj się i rozbieraj!

— Dobrze, dobrze! — broniła z trudem swojej powagi matka. — Bez żadnych uwag. Mademoiselle cię odprowadzi — zwróciła się do przystojnej, śniadej, trochę zwiedłej francuzki, panny Céleste, która nie z jednego już pieca chleb jadła, a teraz swymi pięknymi, czarnymi oczami daremnie wśród nudów wsi polskiej, au pays barbare, wrażeń wyszukiwała. — A nie zapomnij o mleku, które ci Tomasz na stoliku przygotował.

— Zawsze to mleko i mleko!

— Bardzo cię proszę, bez żadnych uwag. Dobranoc.

Dwie panny Glebianki, zaproszone dziś jedynie na tenisa i na podwieczorek, pomimo wielkiego zaciękowania, jakim okaże się ten warszawski korepetytor — zęgnęły się bardzo niechętnie — nagłone rozkazem pana Gieby, aby nie dać długo czekać koniom, bo bryczka już dawno zajęła. Po ich wyjeździe panna Zosia rzuciła się w koszykowy fotel.

Za drzewami skryło się słońce, a cały świat dokoła zaczął tonąć w niebieskości stopniowo gęstniejących ametystowych mroków...

Ze stawów szły odgłosy tych samych, a raczej generacyjnemu coraz innych rechocących żab. A zdawało się, że wsi już po pracy kłócił się odgłos wiecznej fujarki zachowawcy — z dźwiękami z miejskiej brzmiejącej, modnej harmonijki jakiegoś wiejskiego postępowca.

Dalszy ciąg nastąpi.



OKOPY KOCMYŻOWSKIE.

I. Wycieczka.

Mikołaj Jeniec, a za nim Jeńcowa i dwóch młodych Jeńców, słowem, cała rodzina „Jeńcowa“ twierdziła uparcie, że z Kocmyżówki koło Annopola zaczęła się wojna. Tutaj miała miejsce pierwsza bitwa, w której zwyciężyli „rusy“, wczoraj zaś odbyła się druga, w której na górze ostali się „wasi“ — no i... po wojnie! Kocmyżówkę zajął „Legion“. Dziwił się stary Jeniec, nie wiedział, co to za odmiana „waszych“, z niedowierzaniem słuchał, co mu żołnierze z białymi orzełkami na czapkach mówili, ale, gdy się przekonał naocznie, że każdy „legion“ mówi po polsku i że „legiony“ nawet między sobą po polsku mówią i że krzywdy tak znowu ludności nie robią, uspokoił się znacznie, stał się ufniejszy — wreszcie uwierzył.

— Więc będzie Polska? — zapytał sam pierwszy.

— A jakże! będzie, będzie, gospodarzu!

— I Kocmyżówka będzie polską?

— A jakże! Już jest polską — — —

Wierzył w to chętnie. Nie mógł jednak uwierzyć, by Kraśna Wólka i młyn w Zagaju, zajęte przez wojska niemieckie i węgierskie, mogły być również polskie.

— Co to, to nie! — mówił stary Jeniec i chytrze przymrużał lewe oko.

Nie sprawdziły się jednak przepowiednie rodziny Jeńców co do zakończenia wojny.

Potyczka w Kocmyżówce była tylko nieznacznym epizodem. Co więcej, „Awstryjacy“ i „Legiony“ musieli się nawet cofnąć, zaś Kocmyżówkę, jako leżącą pomiędzy dwiema liniami wrogich okopów, trzeba było ewakuować. Częściowo uczynili to już moskale, wprowadzając garść ludności ze sobą. Obecnie smutny obowiązek wyganiania mieszkańców wsi przypadł w udziale legionistom. Wraz z innymi i gościnnymi Jeńców zmuszono prośbą i groźbą do zabrania całego ruchomego dobytku i do opuszczenia chaty. Jeniec się ciskał: „Tu on był“ twierdził uparcie. Próżno starano się dowiedzieć, o kim mówi. Sam nie wiedział! Może Napoleon, może Kościuszko, może generał jaki rosyjski? Dość, że „był i nie spalił“ i że „gospodarza z jego własnej zagrody, jak psa, nie wyganiał!“

— Uspokujcie się, gospodarzu! — wmawiał łagodnie Pluta. Da Bozia, nic waszej chacie się nie stanie. Stoczmy tu bitwę i pójdziemy dalej. My tak zawsze. Pędzi nas po polskiej ziemi, aż jej kres zobaczymy. Staramy się jaknajprędzej, by radażyć do końca wojny. Długo tu nie popasujemy! Ot, zobaczcie! A tak, kule by was uśmierciły! Będą tu padały takie granaty i szrapnele, jakich pewno nie widzieliście jeszcze... A któż będzie wójtą w Kocmyżówce po wojnie? A?... jak będzie Polska, jeśli was zabiją?

To go przekonało.

Chroniąc się wraz z innymi mieszkańcami do sąsiedniego wąwozu, z którego odzywały się już żałośliwe ryki krów i kwilenie świń, Jeńcowie z przerażeniem ujrzeli długi sznur ludzi, kopających na ich polu ziemniaki.

— O jej! wszystkie ziemniaki wykopią, — skarżyła się cicho Jeńcowa.

— A psiewiary! ja im... — chciał się rzucić impetyczny Jeniec, lecz powstrzymała go ilość wrogów i widok, jaki się przed nim rozpostarł.

Nie tylko ziemniaki kopali legionieści. Kopali żyto i pszenicę i złotem rychłego plonu świecące się owse, kopali coraz głębiej i głębiej, masą szarej lub żółtawej ziemi przywalając zboża i nieprzerwanym wałem oznaczając kres swej posiadłości.

Na przeciwnym zboczu za wsią pospiesznie kopali okopy rosyjanie. Wieś leżała na dole, w wąwozie, nie psując pola obstrzału: — to ją chroniło od spalania. Ponad nią, nad dachami śpiących chat, zaczynały już fruwać kule. Rosyjanie zauważyli roboty legionistów. „Rotni!“ wydał rozkaz, „wzwodnyje“ go powtórzyli i wydał: szczegółowsze instrukcje, poczem najlepsi strzelcy z każdego plutonu zaczęli ostrzeliwać przeciwnie leżące. Legionieści, otrzymawszy od swej władzy odnośny rozkaz, zaczęli odpowiadać. Strzały jednak z obydwu stron były bezskuteczne. Przeciwników kryła ziemia, sojusznica wypróbowana, ochronielka najlepsza. Wkrótce dostrzec można było tylko dwa pasma świeżo zrydlonej ziemi, dwie szaro-żółte wstęgi, po za którymi kryły się żywe ciała, pełne pulsującej krwi, i wyteżenie nerwów i woli, i „ogień i żelazo w sercach“, i wszystkie inne walory i cechy ludzkie, wszystko, co się składa na psyche jednostki i narodu; kryło się tam wreszcie i bogactwo wiedzy, zdobytych technicznej kultury narodów, zsumowanego wysiłku dla tem owocniejszego, zbiorowego niszczenia. Składały się na tę wiedzę rutyna wieków, doświadczenie niejednej wojny, noce bezsenne i wysiłek niejednego geniusza.

Na razie jednak wszystkie te potęgi: czucia, woli i środków technicznych trwały w stanie potencjonalnym — ukryte za wałem ziemi. Okopy zaległa cisza. Były one już ukończone. Zaprastały pracy wola i mięśnie ludzkie. Pozostawały jeszcze udoskonalenia (rów strzelecki można udoskonalać bez końca!), umocnienie wałów, daszki szrapnelowe, strzelnicze i t. d., ale to pozostawiono na jutro. Kto wie, czy będą wogóle potrzebne? Może... „forykować“ będziemy, jak mówią z niemiecką polacy w wojsku austriackim? Może...

Na lewym skrzydle kocmyżowskiego odcinka na falistym terenie, poprzecinanym wąwozami, podporucznik Wnorowski udoskonalał wciąż jeszcze, pomimo spóźnionej pory, okopy.

— Padnij! — krzyknął nagle, gdyż paru żołnierzy stało i zaczęły znów gwizdać kule.

— Kopać żywo! Każdy w swoim miejscu! Okop dla klęczącej pozycji!

— Stój! kto idzie! — rozległ się nagle stłumiony okrzyk wedety.

— Stój! Ani kroku dalej. Strzele! I nagle rozległ się spazmatyczny płacz kobiecy.

— Pluta! dwóch żołnierzy! Zobacz, co tam... Tylko ostrożnie.

Zaczęły znów gwizdać kule. „Górowały“ wszystkie, nie czyniąc przez to szkody.

Pluta nie zdążył jednak pójść. Płacz i głosy raptem zamilkły. Tuż koło okopu, jak cienie, przesunęli się, oddając hasło, dwaj żołnierze z placówki, wlokący ze sobą kobietę, której zawiązano usta. Gdy przyprowadzono ją do Wnorowskiego i wyjęto knebel z ust, chryple lecz rozgłosny płacz przerwał nagle ciszę i wśród nieustannych zawodzeń i głuchych „Psia krew!“ „Milczcie!“ usłyszano tętniący ogromną męką i potwornym bólem krzyk: „dziecko!“ Potem wszystko zamilkło.

Szara mgła przesłoniła i ziemię i niebo. Spadła tak nagle, że aż wydawała się niewytłomaczonym zjawiskiem. Orlik przeląkł się, lecz zataił strach. Nie ujawnił go kolegom. Błądził pośród dziwnie niedoleżnej gmatwaniny swych myśli, kierując się raczej instynktem, niż świadomością i wolą. Instynktownie sygnalizował okopy, instynktownie wykonywał rozkazy i wykonywał je dobrze, lecz na mózg i duszę legł mu potworny ciężar niewiedzy.

Bolała go źle zagojona rana — lecz to było najmniejsze. Chciał wiedzieć, zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, lecz to było niewykonalne. Próżno wysilał swój krótki wzrok, próżno tarł okulary — nie widział nic. Próżno garść mokrej ziemi przykładł do rozpalonego czoła — nie mógł nic zrozumieć — nic zgola. Potrafił być jedynie ślepem narzędziem, posłusznym a nawet precyzyjnym narzędziem, ale nie więcej! Wiedział to, że jeśli każą mu pójść na wywiad, zwłaszcza, jeśli usłyszy „bagnet na broń!“, bez namysłu, bez udziału świadomości i woli, robi to, jak zahypnotyzowany — i robi dobrze. By walczyć, nie trzeba świadomości każdorazowej — częstokroć wystarcza świadomość pokoleń poprzednich, ujawniająca się zawiązaną drogą dziedzictwa instynktu. Czuł jednak, że ten drzemający instynkt ma w sobie, że gdy idzie w gromadzie, każdej chwili może go w sobie obudzić i że ten, raz obudzony, nie zawodzi nigdy. To jednak mu nie wystarczało. Chciał za wszelką cenę posiadać to, co miał i co utracił: — jasne i dobitne uzasadnienie wszystkich tych indywidualnych i zbiorowych odruchów, w których brał udział. Chciał, by odruchy swoje mógł nazwać czynem. Chciał, ale to mu się nie udało.

Tak niedawno jeszcze miał to uzasadnienie. Wiedział tę formułę, to credo swoje, tę dźwignię uciążoną czynów, lecz utracił ją. Jak to się stało, nie wie.

Miał ją zagrzebaną wielkiem, niepojemnym brzemieniem nieprzeżytych do

końca przeżyć, nie przeboleć do kresu cierpień, nie przetrwać, nie sformułowanych ostatecznie obserwacji — miał je utajone gdzieś, w jakimś głuchym zakamarku duszy, lecz odgrzebać i wydobyć ją stamtąd nie był w stanie.

— Mgła winna, — powtarzał.

Należało wprawdzie poddać wszystkim tym nieopanowanym bólom i myślom — a to był trud straszny, ponad jego siły obecne.

Ot i teraz miał już na wargach ust tę swoją formułę życia: — formułę czynu, lecz gdy już, już miał ją wypowiedzieć, usłyszał to straszne szlochanie kobiety wiejskiej i te straszne, niezrozumiałe, szalone słowa: „moje dziecko!” i przeraził się, zadygotał w sobie i zatracił możliwość rozumowania.

Gdyby go ktoś oderwał od gromady, w której był użyteczny, biorąc udział we wspólnym czynie, pozostałby biernym świadkiem wydarzeń, w samym sobie nie znalazłby impulsu do czynu. Biedny, mały, dygoczący od febry, skolatany, waleczny (dostał medal za Łowczówek) Orlik — — —

— Orlik, nie śpij! — odezwał się sąsiadujący z nim dawniej na ławie szkolnej a obecnie w okopie Walgierz. Był młodszy rangą, ale zachował w stosunku do Orlika, po za służbą, całą swą dawną poufałość kolegi.

— Będzie, zdaje się, wywiad. Włdżisz, jaka mgła. O dwa kroki nie widać nic... można się podkraść do placówki moskiewskiej. Jeśli komendant batalionu nie przemędrkuje, moglibyśmy zadać im pieprzu.

— Z imbirerem, z imbirerem — dodał szorstkim basem gruby Duda, „ceper” z pochodzenia i temperamentu, szewc „z cywila”, obecnie żołnierz, któremu w każdej przeprawie nabrzmiewały skronie i oczy o mały włos nie wypadały z orbiter. Przed wojną upodobał sobie siedzące życie, to też każdy żywszy ruch fizyczny, wprawiający w grę wszystkie mięśnie jego grubego ciała — sprawiał mu ból i napawał zarazem lękiem: — „czy wydołę?”... Ponieważ jednak był ambitny, więc jakoś dawał sobie radę, „nawet niezgorzej”, jak zdefiniował sierżant Pluta, czym go raz na zawsze sobie ujął — — —

Przewidywanie Walgierza, podzielane przez innych, sprawdziło się. Przyłeciał spocony ordynans. Budzono na gwałt śpiących. Sypały się stłumione przekleństwa. — To ty nie wiesz, że spać nie wolno?!

Niebawem z dwóch sąsiadujących kompanii wyruszyły dwa małe oddziałki: pierwszy, liczący 7 ludzi, pod Kozłowskim, byłym oficerem rosyjskim, dumnym z otrzymanej u naczelnika rangi sierżanta, i drugi z 5-ciu, pod podoficerem Orlikiem.

Dalszy ciąg nastąpi.



STEFAN KRZYWOSZEWSKI.

Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

OSOBY:

ADAM HAMELBEIN, bogaty finansista — lat 42.

EWA HAMELBEIN, jego żona — lat 30.
ADZIO i EDZIO, ich małoletni synowie (lat 7—6).

JAN CHOMICI, obywatel z Wołynia — lat 40.

KRYSTYNA, jego żona — lat 30.

HENRYK LEŃSKI — lat 48.

AUGUST BORSKI — lat 28.

PREZES — lat 60.

HRABINA — lat 50.

ROMAN KOSKIEWICZ — lat 24.

ANTONINA MATERAS — lat 20.

LA FIRDECKI, profesor tańca — lat 35.

PANI LOLA — lat 32.

PANI DZIDZIA — lat 34.

SŁUŻĄCY U HAMELBEINÓW.

SŁUŻĄCY U LEŃSKIEGO.

Rzecz dzieje się współcześnie w Warszawie, 1 i 3 akt w mieszkaniu Hamelbeinów, 2-gi akt w mieszkaniu Leńskiego.

AKT I.

Wykwintnie urządzony salon w mieszkaniu Hamelbeinów. Dwoje drzwi z prawej strony, prowadzących do gabinetu Hamelbeina (pierwsze od widowni) i do drugiego salonu. Drzwi w głębi, wiodące do przedpokoju. Z lewej strony okna. Meble stylowe Louis 15, fortepian przysłonięty makatą, piękne obrazy, cenne bibeloty. Posadzkę okrywa miękki dywan.

SCENA 1.

Przez chwilę w salonie pusto. Drzwi w głębi otwierają się, wchodzi służący.

SŁUŻĄCY (*przeszedł do drzwi, prowadzących do drugiego salonu, otworzył je i melduje*).

— Proszę jaśnie pani! Pan Chomicz.

Wślazł za nim wchodzi Krystyna, strojna w wytworny kostium popołudniowy, w kapeluszu.

(*Służący cofa się do przedpokoju, w drzwiach od drugiego salonu pojawia się Ewa*).

EWA (*biegnie ku Krystynie, żywo*). Oczekuję cię z niecierpliwością. (*Powitanie*). Tak się ucieszyłam wczoraj! Nie widziałyśmy się... ile? Siedem lat? Dziesięć?...

KRYSTYNA (*wesoło*). Lepiej nie liczyć!

EWA (*prowadzi ją serdecznie do berżery i siada obok*). Bo też żeby wychodzić za mąż tak daleko! Gdzie to jest właściwie Wołyń? Nigdy się

połapać nie mogę. To blisko Ukrainy, prawda?

KRYSTYNA (*śmieje się*). Tak, po drodze.

EWA (*śmieje się również*). A mimo to zawsze ci zazdrościłam. To bardzo w dobrym tonie mieszkać na Wołyniu... albo na Podolu. Litwa już mniej w modzie... Państwo Chomiccy z Wołynia! Drzwi wszędzie otwarte! (*lekko, zgola szczerze westchnienie*). Ja już przez całe życie będę panią Hamelbein z Ozorkowa!

KRYSTYNA (*j. w.*). Niejeden magnat wołyński zazdrościł wam tych fabryk, które przynoszą podobno krocie... czy miliony. I przecież nie mieszkaż w Ozorkowie?

EWA. Wymogłam na mężu, żeśmy się przenieśli. Prawda, ty nie znasz mojego męża... (*lekko*). Bardzo poczywy... bardzo mię kocha... Na długo przyjechałaś?

KRYSTYNA. Nie wiem. Mąż mój ma interesy... zakłada cukrownię. Szuka pieniędzy.

EWA. Może Adam mu pomoże... Ale ja w interesach nie mam na niego wpływu. Ja wogóle nienawidzę interesów. Gdyby to odemnie zależało, chciałabym, żeby Adam wycofał się ze wszystkiego. W towarzystwie interesy są źle widziane...

KRYSTYNA. Ale dochody!

EWA. Cóż z tego! Włdżisz, ja jestem ambitna. Jabym chciała... Czy twój mąż należy do klubu?

KRYSTYNA. Tak. Zapisano go przed laty, kiedy był częściej w Warszawie.

EWA (*z goryczą*). Pana Chomiczkiego zapisują do klubu... A pan Hamelbein może się o to starać przez całe życie... napróżno.

KRYSTYNA (*z ledwie uchwytną ironią*). Widzę, że naprawdę jesteś ambitna!

EWA (*odczuła ironię i zmienia ton*). Co będziesz robiła w Warszawie?

KRYSTYNA. Chcę się bawić... Zostawiłam dzieć pod opieką mamy. Stęskniłam się za wielkim miastem. Wiesz, my nieraz tygodniami nie widzimy ludzi! Najbliższe sąsiedztwo o pięćdziesiąt wiorst.

EWA (*z uśmiechem*). Chcesz flirtować?

KRYSTYNA (*tak samo*). Chętnie dowiedziałabym się, czy się jeszcze mogę podobać.

EWA (*szczerze*). Jesteś śliczna!

KRYSTYNA. Nie zestarzałam się?

EWA. Jesteś jak róża. A ja?

KRYSTYNA. Twemu mężowi muszę wielu ludzi zazdrościć. Gdybym była mężczyzną, nie darowałabym ci.

EWA (*ściska ją*). Jabym tobie... wszystko darowała (*śmieje się*). Więc chcesz flirtować, naprawdę?

KRYSTYNA. Widzisz, w każdej z nas, choćby życie obsypało ją najhojniej laskami, czai się tęsknota za czymś niespodziewanym, nieoczekiwanym, — za czymś *innym*. Każda z nas gotowa w noc świętojańska szukać kwiatu paproci... nowych uczuć, nowych wrażeń... spełnienia tych snów, których życie nie ziściło, bo ziścić nie mogło... (*z uśmiechem*). Ale nie obawiaj się. Nie mam zamiaru przekroczyć granic...

EWA. Ja się niczego nie boję.

KRYSTYNA. Powiedz mi coś o swoich flirtach...

EWA (*szczerze*). Ja nie potrafię flirtować.

KRYSTYNA (*śmieje się*). Jakto, nie znasz tej rozkoszy, — między ustami a brzegiem puhanu, tańca wśród mieczów, żonglowania z własną cnotą — ponad przepaścią?

EWA (*j. w.*). Taniec wśród mieczów? Jabym się zaraz skaleczyła.

KRYSTYNA (*j. w.*). Jednak czasem muszę się zdarzyć... skraj przepaści. Cóż wtedy robisz?

EWA (*z uśmiechem lekkiego zawstydzenia*). Dostaję zawrotu głowy... zamykam oczy... i leczę.

KRYSTYNA (*z żartobliwym przerażeniem*). Ewo! Ty masz kochanka! (*Ewa milczy. Krystyna cokolwiek poważniej, acz z pobudzoną ciekawością*). Kochasz go bardzo?

EWA (*bez głębszego przekonania*). Tak.

KRYSTYNA. Powiem ci prawdę... Już cztery lata temu, na kontraktach w Kijowie, ktoś z Warszawy mówił mi, że księżę Leon kocha się w pięknej pani Hamelbein...

EWA (*nieopatrznie*). To dawne dzieje!

KRYSTYNA. Więc to nie on?

EWA (*skrzywiła się lekko*). Już dawno!

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). Ewo! Zatem to już drugi?

EWA (*po chwili wahania i namysłu*). Nie... piąty.

KRYSTYNA (*przerażona i zarażem rozbawiona*). Messalina!

EWA. Moja droga! Mówisz, jak kobieta, która nie miała nigdy... żadnej przygody. Trudny jest pierwszy krok. Mnie się zdawało — pierwszy raz — że ziemia zacznie się kręcić w przeciwną stronę, że w moich oczach każdy wyczyta: ona ma kochanka! Ale... ani ziemia nie odwróciła swego biegu, ani...

KRYSTYNA (*przerywa*). Ewo! Jesteś cyniczna!

EWA. W szczęśliwych warunkach kobieta może się uchronić przed pierwszym kochankiem. Żeby się obronić przed następnym, musiałaby być bohaterką... (*śmieje się. W drzwiach z prawej strony, prowadzących do gabinetu, ukazuje się Hamelbein*).

SCENA 2.

KRYSTYNA — EWA — ADAM.

ADAM (*w żakietowym ubraniu, ostatniej mody, kwiat w butonierce, zbliża się do Krystyny w lekkich, eleganckich podrygach, rozradowany*). Bardzo jestem szczęśliwy z poznania pani. Moja żona zawsze wspomina panią z czułością (*całuje ją w rękę*).

EWA (*do męża, wskazując Krystynę*). Prawda, jaka śliczna?

ADAM (*z przekonaniem*). Jak ten obrazek!

KRYSTYNA (*śmieje się*). Panie, ja nie jestem malowana.

ADAM. Ja teraz rozumiem, że panu Chomickiemu jest dobrze nawet na Wołyniu. Ja tak samo byłbym szczęśliwy z tym moim dziećlatem (*chce pogłaskać Ewę po twarzy, ona się usuwa*). Ale jej do szczęścia koniecznie potrzebna Warszawa.

EWA (*z ładnym grymasem*). On się czuje lepiej w Ozorkowie.

ADAM. Czy ja mówię: nie? (*do Krystyny*). W Ozorkowie jest jeden Hamelbein. Jak ja sobie pojadę do Łodzi, na Piotrkowskiej ulicy każdy się zatrzyma i powie: — To Hamelbein z Ozorkowa. A tutaj? Tutaj każdy chce mnie naciągnąć, a jeśli mu się nie uda, nazywa mnie baranią nóżką. Ja, proszę pani, jestem skromny człowiek. Ja lubię sobie cichutko, spokojniutko, jak u Pana Boga za piecem. Ja daruję najlepszy obiad u Paillard'a za rosół i sztukamię z kwiatkiem w domu.

Pani widziała nasze małe bobaki? (*Krystyna nie zrozumiała*). Nasze kochane dzieciaki?

EWA (*z lekkim przekąsem*). Mój mąż jest wzorem dobrego ojca.

ADAM. Pani ma dzieci?

KRYSTYNA. Dwoje.

ADAM. To pani mnie rozumie.

EWA. Wcale cię nie rozumie. Nudzisz ją swoim zwierzeniami (*do Krystyny, musnąwszy palcami wąsy męża*). Prawda, że takie wąsy, to coś bardzo brzydkiego?

KRYSTYNA (*śmieje się*). Dlaczego? Panu zupełnie do twarzy.

EWA (*z grymasem*). Okropne. Nie mogę się doprosić, żeby je ogolił. Kto dzisiaj nosi takie wąsy? Ja się wstydzę z nim chodzić. Jak ty wyglądasz!

ADAM. Jak ja wyglądam? Ja wyglądam na fabrykanta z Ozorkowa. Tutaj nikt nie chce być tem, czym jest. Ja jestem fabrykantem z Ozorkowa, a ona chce ze mnie zrobić hrabiego z klubu. Co to jest? Tutaj wogóle stosunki są anormalne. Pod każdym względem *anormalne*.

EWA (*poprawia*). Anormalne.

ADAM. Anormalne. Ale ktoś musi raz rozpocząć walkę z tą (*z naciskiem, dając do zrozumienia Ewie, że zapamiętał naukę*) *anormalią*.

EWA (*poprawia*). Anormalia.

ADAM (*bezwiednie*). Anormalia... (*zdetonowany*). Anormalny, a-normalia... e, z ciebie jest za wielki grymas!

EWA (*spojrzała na zegarek w bransoletce*). Piąta dochodzi... (*do Krystyny*). Twój mąż przyjdzie?

KRYSTYNA. Jeśli tylko zdąży... Miał być w sprawie swojej cukrowni u starego pana Karwosińskiego.

ADAM. Państwo mają cukrownię?

KRYSTYNA. Mój mąż chce budować, lecz nie ma dość gotówki.

ADAM (*nagle ochłodził*). A...

EWA. Wiesz, kto na starego hrabiego ma wpływ? Leński. Będzie dziś u nas.

KRYSTYNA. Leński?

EWA. Znasz go?

KRYSTYNA. Spotykałam go dawniej.

EWA. On w klubie może zrobić, co zechce. Wszyscy za nim przepadają.

ADAM (*niezadowolony*). A one wszystkie za nim waryują. Nie wyłączając jej... Pani zobaczy, jak on z niemi rozmawia... Tylko rzucić chusteczkę i już!

EWA (*podrażniona*). A może naprawdę już?

ADAM (*tak samo*). Co to jest: już? Ewa, ja tego nie lubię. Ja sobie wymawiam takie żarty.

EWA. Mój drogi, zostaw sceny zazdrości swoim buchalterom... (*do Krystyny*). Muszę ci pokazać moje apartamenty (*bierze ją wpół, obie wstają*). Chodź. (*do męża*). Prezes przyjdzie na pewno punktualnie. Przyjmij go...

ADAM (*jeszcze skwaszony*). Ja nie umiem z nim rozmawiać.

EWA (*drwi*). Powiedz mu, że dziś ładna pogoda i spytaj się go o zdrowie.

ADAM (*do Krystyny*). Pani nie zna jej prezesa?

(*Krystyna skinęła głową potakująco*).

EWA. Prezes jest cokolwiek ceremonialny i lubi atencje. A ty zbyt łatwo jesteś poufały. Herbatę podadzą w salonie... (*drzwiami od salonu wpadają Adzio i Edzio*).

Dalszy ciąg nastąpi.

JÓZEF CONRAD.

Podobnie, jak w roku zeszłym, powieść, której druk rozpoczynamy obecnie, wiąże się, pomimo swej cudzoziemskości, z naszym krajem, a to przez osobę swego autora, i to jeszcze ściślej, bo jeżeli p. Woyniewiczowa, autorka „Baka”, stała się polką na skutek małżeństwa, to autor „W Oczach Zachodu” jest polakiem z krwi i kości, i nosi drogie naszej literaturze nazwisko Korzeniowskiego.

Konrad Korzeniowski, wnuk Teodora, kapitana wojsk polskich, syn poety Apolla, urodził się 1859 roku na Ukrainie. Nauki początkowo pobierał w Krakowie, ale szczególnie czując pociąg do morza, już w 1874 r. opuścił kraj i udał się do Anglii, gdzie został marynarzem i przybrany synem Wielkiej Brytanii. Cały oddany wędrówkom po oceanach i ukochanemu nad wszystko zawodowi, późno, bo dopiero w 38-ym roku życia, rozpoczął karierę powieściopisarską w języku angielskim, którym włada, jak rodowitym i którego ducha zdolał tak przeniknąć i opanować, jakgdyby od kolebki nim tylko mówił i myślał.

Oczywiście, morze jest ulubionym temem nowel i powieści Conrada. Anglicy uważają go za swego Lotiego; rodak nasz jednak przewyższa skondensowaną siłą plastyki nieco sentymentalnie rozwikłego autora „Pani Chryzantemy”. Ale choć rozkochany w przyrodzie i egzotywności, Conrad z niemniejszym umiłowaniem bada duszę ludzką pod różnymi stopniami szerokości geograficznej, zagłębiając się w jej najskrytsze tajniki i podając drobiazgowiej, czasem aż za drobiazgowiej analizie przekształcenia, jakim pojęcia i instynkty ludzi cywilizowanych ulegają w barbarzyńskim otoczeniu i naodwrot.

Leitmotywem jego psychologicznych studyów bywa często rozterka człowieka z sumieniem; jakiś jeden błąd, jeden krok fałszywy, którego skutki rozciągają się na całe dalsze życie; ciągłe zmagania się fatalnych wspomnień z teraźniejszością. Tę walkę duchową upostaciowywa rozbiitek z powieści: *An outcast of the Islands* i marynarz z „*Lorda Jim’a*” i Razumow, bohater tej wielce ciekawej dla polskich czytelników powieści, którą właśnie rozpoczynamy dzisiaj, ciekawej podwójnie dla nas z tej przyczyny, że treścią jej są stosunki, panujące w tych „miarodajnych” sferach, które do niedawna, jak młyński kamień, leżały na piersiach naszego narodu, i ta dusza rosyjska, dusza azyaty z domieszką jakiejś nieokreślonej, słowiańskiej tęsknoty, wybornie tu zanalizowana pod kątem widzenia „Oczów Zachodu”.

Co się tyczy techniki powieściopisarskiej Conrada, to przede wszystkim trzeba zauważyć, że powieściopisarze wogóle dzielą się na dwie zasadnicze grupy. Pierwsza pisze dla czytelnika i wciąż o nim pamięta, pomimo, że zatraciła już ową formę bezpośredniego odwoływania się do tychże czytelników, którą tak posługiwali się ze szkodą dla artystycznej

strony utworu pisarze starej daty; druga, która o tego czytelnika wcale się nie troszczy i ma wyłącznie na względzie swoje własne zamierzenia, dążąc do nich takimi drogami, jakie najlepiej odpowiadają jej twórcemu temperamentowi. Czy zaś te drogi będą czytelników zrozumiały i zajmujące, czy nie, to beletryście tego drugiego, modernistycznego pokoju jest najzupełniej obojętne. Jeżeli biedak zmęczy się i znudzi, tem gorzej dla niego. Niech ma pretensję nie do autora, lecz do siebie, że książkę czyta, bo autor wcale jej dla niego nie pisał, lecz z wewnętrznej twórczej potrzeby.

Do tej drugiej kategorii powieściopisarzy należy Józef Conrad. Konsekwentnej, logicznej budowy, której całokształt zarysowywałby się jasno dla każdego oka,

nie należy szukać w utworach naszego rodaka. Bujna, kapryśna fantazja unosi go często w kierunku zgola nieoczekiwanym, nic wspólnego z tokiem akcji nie mającym, wskutek czego czytelnik z pewnym trudem śledzić musi za wątkiem przewodniej myśli autora; lecz te dygresje dzięki prawdziwemu talentowi i tej niepospolitej, malarskiej barwności pióra, która wysunęła Conrada na czoło angielskich pisarzy są zawsze zajmujące, jako objaw nawskroś oryginalnej genialnej indywidualności. Zresztą „*W oczach Zachodu*” to może najbardziej zrównoważony i artystycznie harmonijny utwór z pomiędzy dotychczasowych prac Conrada, jak się o tem czytelnicy „*Świata*” sami będą mogli przekonać.

H. J. P.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

POWIEŚĆ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Na wstępie muszę się zastrzedz przeciw przypuszczeniu czytelników, jakobym był posiadaczem tych wysokich darów wyobraźni i plastyki, które dozwoliłyby memu pióru stworzyć taką postać, jak Cyryl syn Izydora, czyli, mówiąc z rosyjska, Kiryło Sidorowicz Razumow.

Jeśli mam wogóle posiadać kiedykolwiek te dary, to zmarniały one od dawna pod tłoczaczem usypiskiem słów. Słowa, jak wiadomo, są wrogami rzeczywistości. Ja zaś od wielu lat jestem nauczycielem języków. Jest to zajęcie zgubne dla wyobraźni, obserwacji i innych umysłowych przymiotów osoby, która mu się oddaje. Dla nauczyciela języków świat staje się z biegiem czasu jedynie krainą słów, a człowiek—pospolitym, gadającym stworzeniem, niewiele ciekawszym od papugi.

W takich warunkach nie byłbym zgola zdolnym obserwować pana Razumowa, ani wyobrazić go sobie takim, jakim był. Nawet zmyślenie samych wydarzeń jego życia przechodziłoby moje siły. Ale sądzę, iż i bez tego zastrzeżenia czytelnicy tych kartek odczują, że treść ich opiera się na podstawie dokumentów. I tak jest w istocie. Mój współudział w tej pracy ogranicza się na dostatecznej znajomości rosyjskiego języka, w którym to języku spisany został ów dokument. Jest to rodzaj dziennika, prowadzonego dosyć bezładnie, bo tu i owdzie z kilkumiesięcznymi przerwami, aczkolwiek wszystkie notatki są datowane. Pierwsza część jest ro-

dajem opowiadania, odnoszącego się do zdarzenia, które miało miejsce na rok przedtem.

Tu muszę zaznaczyć, że długi czas mieszkałem w Genewie. Cała jedna dzielnica tego miasta ze względu na wielką ilość przebywających w niej rosyjan nosi nazwę Małej Rosyi. W owym czasie miałem obszerne stosunki z ową Małą Rosją; wyznaję jednak, że nie zdaje sobie zgola sprawy z charakteru rosyjan. Brak logiki w ich postępowaniu, arbitralność, z jaką narzucają swoje wnioski, tak często trafiająca się wśród nich wyjątkowość natur, wszystko to nie przedstawia wielkich trudności dla znawcy licznych gramatyk, ale jest w tem wszystkim jeszcze coś, jakaś specyalna odrębność, nieuchwytna dla zwykłych profesorów mózgów.

To, co przedewszystkiem uderzyło musi nauczyciela języków, to ich nadzwyczajne umiłowanie słów. Gromadzą je, lubują się w nich; ale nie przechowują ich w piersiach; przeciwnie, gotowi są w każdej chwili wylewać je z siebie z taką obfitością, z taką jakąś mechaniczną, że tak powiem, swadą, iż czasem nie można się oprzeć podejrzeniu, czy oni aby istotnie rozumieją to, co mówią. Ale, wracam do rzeczy.

Napróżno byłoby zastanawiać się, dlaczego pan Razumow zostawił po sobie ten pamiętnik; bo że nie był on przeznaczonym dla ludzkiego oka, to zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości. Ale tu wchodzi w grę jakiś tajemniczy popęd ludzkiej natury. Któżby liczył tych wszystkich filozofów, świętych, zbrodniarzy,

mężów stanu, naiwne dziewczęta i zwykłych głupców, którzy spisywali swoje najskrytsze myśli, po części, zapewne przez próżność, ale także i z innych bardziej niezbadanych powodów. Musi być coś dziwnie kojącego w działaniu słów, skoro tylu ludzi szukało w nich pociechy. Jaką pociechę Kiryłu Sidorowicz Razumow spodziewał się znaleźć pisząc swój pamiętnik, tego w żaden sposób odgadnąć nie mogę.

Faktem jest, że go napisał.

Pan Razumow był wysokim, kształtnym młodzieńcem, niezwykle śniadym na mieszkańca Środkowej Rosji. Możliwe go było nazwać pięknym, gdyby go nie szpecił szczególny brak wykończenia w rysach. Była to twarz jakgdyby potężnie wyidealizowana w wosku, a potem trzymaną przy ogniu dopóty, dopóki wszelka wyrazistość linii nie zatarła się w topniejącym materiale. Ale nawet i z tem powierzchowność jego była bardzo ujmująca. Ujmującym też było i jego obieżcie. W towarzystwie zachowywał się zwykle milcząco; był z gatunku tych, którzy zdają się z rozwagą i zrozumieniem słuchać, a potem magle zmieniają przedmiot rozmowy.

Ta właściwość, która mogła wpływać albo z jakichś intelektualnych braków, albo z niedostatecznej wiary we własne przekonania, zjednała panu Razumowowi opinię głębokiego myśliciela. Pośród kolegów petersburskiego uniwersytetu Kiryłu Sidorowicz, student na trzecim kursie filozofii, uchodził za naturę silną i człowieka godnego zaufania. To w kraju, gdzie przekonania mogą być zbrodnią, karana śmiercią, lub czasem, gorszą od śmierci dołą, znaczyło, że można było wynętrzać się przed nim z zakazanych przekonań. Lubiono go też dla jego uprzejmej gotowości w oddawaniu kolegom drobnych przysług, nawet gdy to było połączone z pełną osobistą ofiarą.

Pan Razumow był jakoby synem popa i miał opiekuna w osobie wysoko postawionego magnata, z tych samych, co on, stron rodem. Ale powierzchowność młodzieńca przeczyła tak skromnemu pochodzeniu. To też szeptało się, że to raczej córka popa była jego matką, co jednocześnie protekcję owego dygnitarza czyniło zrozumiałą. Zresztą kim był ów dygnitarz, nikt nie wiedział, i nikt się o to nie troszczył. Razumow otrzymywał skromną, ale zupełnie wystarczającą pensję z rąk jakiegoś podrzednego adwokata, który również opiekował się nim do pewnego stopnia. Stosunków towarzyskich w stolicy Razumow prawie że nie miał. Od

czasu do czasu pojawiał się tylko na jakichś profesorskich przyjęciach. Na wykłady uczęszczał regularnie i władze uważały go, jako wiele obiecującego studenta. Pracował w domu, lecz nie odgradzał się w tym celu od całego świata. Można było przyjść do niego w każdej porze, i wogóle nie było nic tajemniczego w jego życiu.

I.

Początek opowiadania pana Razumowa łączy się z faktem udanego zamachu na życie jednego z najwybitniejszych, rosyjskich mężów stanu, ministra, obdarzonego wyjątkową władzą.

Była to osobistość, o której rozpisywano się szeroko w prasie, a jego portrety, pojawiające się raz po raz w europejskich ilustracjach, spopularyzowały tę chudą postać fanatyka w kapiącym od złota mundurze, ze zmiętą, pergaminową twarzą, z wyblakłymi oczyma, patrzącemi tępo przez szkła okularów i z orderem św. Prokopa na wyschłej szyi.

Służył on swemu monarsze, wysyłając do więzień, na wygnanie, do katorgi mężczyzn i kobiety, starych i młodych z jednakową niewzruszoną, niezmordowaną gorliwością. Bez względu na wyznawcę idei autokratyzmu, ścigał i tępił wszystko, co mogło mieć jakiś pozór wolności w państwowych urządzeniach; a mściwe prześladowanie młodzieży świadczyło, że byłby pragnął zniszczyć samą nawet nadzieję swobody.

Powiadają, że ten gnębiciel i kat w swej fanatycznej ciasnocie nie zdawał sobie sprawy z nienawiści, jaką wzbudzał. Trudno w to uwierzyć; faktem jest jednak, że nie przedsięwbrał żadnych prawie środków ostrożności, dotyczących się jego własnego bezpieczeństwa. W przedmowie do jakiegoś słynnego „ukazu“ oświadczył kiedyś, że „myśl o wolności nie istniała nigdy w zamiarach Stwórcy. Ze zbiorowiska ludzkich narad może się zrodzić jedynie bunt i nieład; a bunt i nieład w świecie stworzonym do posłuszeństwa i porządku są grzechem. Nie Rozum lecz Władza jest wyrazem Boskich Zamiarów. Bóg jest autokratą Wszechświata...“ Być może więc, iż człowiek, który podobne przekonanie wygłaszał, wierzył, iż niebo obowiązało go opiekować się nim w jego bezlitosnej obronie autokracji na tej ziemi.

Niewątpliwie czujność policji ocalała go wielokrotnie, ale gdy nadeszła jego godzina, odnośne władze nie mogły go ostrzedz. Nie wiedziały bowiem, ażeby się knuł jakiś zamach na życie prezesa ministrów;

nie doszła ich najłżejsza wskazówka o żadnym spisku, nie podejrzanego nie zwróciło ich uwagi. Prezes ministrów jechał na stację kolej żelaznej w dwukonnych, odkrytych sankach ze stangretem i lokajem na koźle. Śnieg padał przez całą noc, a że miało to miejsce wczesnym rankiem, więc nieumiecioną jeszcze droga była bardzo ciężką dla koni i sanki posuwały się zwolna wskroś trwającej wciąż zadyмки.

W pewnej chwili lokaj zauważył wieśniaka, idącego zwolna brzegiem trotuaru z rękoma w kieszeniach baraniego kozucha i z głową wtuloną w ramiona pod padającym gęsto śniegiem. Gdy sanki zrównały się z tym człowiekiem, on odwrócił się nagle i wyciągnął rękę. Nastąpił straszny wybuch; oba konie padły, a stangret śmiertelnie raniony, krzyknawszy przeraźliwie, zleciał z kozła. Lokaj (który ocalał) nie miał czasu zauważyć twarzy człowieka w baranym kozuchu. Ten ostatni rzucając bombę odszedł, ale prawdopodobnie, widząc ludzi biegnących zewsząd na miejsce wypadku, uznał za bezpieczniejsze powrócić z nimi.

W mgnieniu oka zebrał się podniecony tłum dokoła sanek. Prezes ministrów, wysiadłszy nietknięty w śnieg, stał nad jęczącym stangretem i zwróciwszy się do otaczających, powtarzał swym słabym, bezbarwnym głosem: „Proszę was, odstepcie. Na miłość boską, proszę was, dobrzy ludzie, odstepcie“.

Wtedy to jakiś młodzieniec, który stał spokojnie pod bramą pobliskiego domu, zbliżył się szybko i rzucił drugą bombę po nad głowami tłumem. Prezes ministrów pochylił się właśnie nad umierającym stangretem. Bomba uderzyła go w ramię, spadła mu pomiędzy nogi i wybuchnęła ze straszną siłą, kładąc go trupem na miejscu, dobijając ranęgo stangreta i wprost miażdżąc na drzazgi puste sanki. Tłum z wraskiem rozproszył się w mgnieniu oka, prócz tych, którzy stali najbliżej prezesa ministrów i wraz z nim śmierć ponieśli.

Przez długi czas nikt nie śmiał zbliżyć się do miejsca wypadku. Zdaleka tylko, poprzez padający ciągle śnieg ludzie patrzeli na skłębiony stos ciał na bruku; aż wreszcie patrol kozacki nadjechał i zsiadłszy z koni, zaczął oglądać trupy. Pośród niewinnych ofiar drugiego wybuchu leżał trup człowieka w baranym kozuchu z twarzą nie do rozpoznania. W kieszeniach jego niedźnej odzieży nie absolutnie nie znaleziono i nikt się nigdy nie dowiedział, kto to był.

Tego dnia pan Razumow wstał o zwykłej porze i spędził dzień w uni-

wersyteckim gmachu, słuchając wykładów i czas jakiś pracując w bibliotece. W porze obiadowej słyszał w studenckiej jadalni, jakoby ktoś gdzieś rzucił bombę. Ale to były tylko szept, a w Rosji nie jest bezpieczną dla studenta rzeczą zbytnio się szeptami interesować. Razumow był jednym z tych ludzi, którzy żyjąc w czasach umysłowego i politycznego niepokoju, instynktownie idą z biegiem zwykłego, codziennego życia. Nie obce mu były prądy wstrząsające głucho społeczeństwem; żywił nawet dla nich jakąś nieokreśloną sympatię; ale przede wszystkim myślał o swojej pracy, studiach i przyszłości.

Pozbawiony zupełnie rodziny (popadanka oddawna umarła), był on tak samotny na świecie, jak rozbitnik na morzu. Jedyną jego przynależnością do świata była świadomość rosyjskiego pochodzenia, ale Rosja była zbyt olbrzymią rodziną, by na jej specjalne zainteresowanie się pojedynczym członkiem mógł liczyć.

Razumow, wracając tego dnia do domu myślał, że będąc już dostatecznie przygotowanym do egzaminów, mógłby teraz poświęcić się pracy na konkurs, rozpisany przez ministerium oświaty. Uśmiechał mu się srebrny medal. Ach! gdyby go otrzymać!

Ale przypomniał sobie ześlazłego medalistę, Razumow posmutniał. Był właśnie wraz z paru innymi studentami u tego kolegi, gdy ten otrzymał urzędowe zawiadomienie o odznaczeniu. Zaczęło mu winnować, on jednak porwał za czapkę i rzekł: „Darujcie mi, moi kochani. Pójdę kupić wino; ale przede wszystkim poślę telegram do domu. To się dopiero starzy ucieszą! Całą okolicę sproszą na bibę“.

Razumow pomyślał, że gdyby dostał medal, to na całym świecie nikt się tem nie uraduje. Ale go to nie rozgoryczyło względem owego dygnitarza, który go protegował. a którym, jak się pokazało, był ksiądz K... niegdyś wielki światowiec i ulubieniec salonów, a teraz schorowany pedogryk, żyjący zawsze wspólnie, po magnacku, ale już w domowym zaciszu. Miał bowiem żonę równie dumną arystokratkę, jak on sam, i kilkoro dzieci.

Dalszy ciąg nastąpi.



Notatki literackie.

Odstępstwo.

P. Leon Pomper wydał na ozdobnym papierze w wytwornej szacie książkowej swój poemat dramatyczny p. t. „Odstępstwo“. Poemat ten obfituje w nazwiska bohaterów o brzmieniach tak zróżnicowanych, że obok Ismeny znajdujemy tu Dorydę, Edwigę i Burzychę, Eliasza i Lotara, Maela i Ancelota, no i proroka Kedyma. Prorok ten uszczęśliwia swoją egzystencją rybaków nad jakimś morzem, w nieokreślonym czasie. I uszczęśliwia ich też jakąś wiarą w nieokreślone swoje posłannictwo. Poemat dramatyczny ma przez to nabrać cechy czegoś wiecznego, niezmiennego, typowego, ogólnego. Powstał, jak widzimy, poemat ten z marzenia, bo tylko marzenia są tak zwiewne, mgliste i nieokreślone co do czasu i miejsca. I pozostaje ten poemat dramatyczny tylko w marzeniu. W artystycznej bowiem wizji rzecz każda musi być konkretna, plastyczna, musi wypowiadać się przez określony czas i odmierzoną przestrzeń. Tylko potęga odczucia czasu przenosi nas w bezmiar. Gdy ktoś chce w metodzie swojej odwrócić widzenie rzeczywistości artystycznej, co mu zresztą wolno, to jednak musi liczyć się z tem, że o wartości jego metody zdecyduje odbiorca - czytelnik, który oby bezmiarów nie wziął za mgławicę beczelnesne.

A przytem myśl Odstępstwa, którą autor widzi w tem, że Kedym zakochał się w Ismenie, nie jest dramatycznie przeprowadzona. Nie widzimy wcale przełomu w duszy Kedyma. Dusza Kedyma nie staje się w dynamice swojego rozwoju przed naszymi oczyma. Widzimy tylko, że głupi tłum kamieniuje go, i pytamy, za co? Czyż kapłanom i prorokom nie wolno kochać i czemu miłość dla kobiety ma degradować zawsze człowieka w oczach tłumu? P. Pomper, tworząc ogólne, typowe linie swojego poematu, na pytanie to przede wszystkim powinien był odpowiedzieć plastyką swoich artystycznych wizji, jeżeli już nie mógł czy nie chciał pojęciowo określić tego swojego, dziwnego wobec miłości i kobiety stanowiska.

Sądźmy, że „Odstępstwo“ jest pierwowociną twórczości p. Pompera. Niezupełnie to udatna rzecz, choć każde przypuszczać, że p. Pomper chce budować swoje dramatyczne wizje na tłach rozdźwięków psychologiczno - moralnych. Czy potrafi? Odpowiedzą najlepiej przyszłe utwory. W każdym jednak razie należy się wystrzegać takich zdań, jak „życie wyparło z twojej duszy potrzebę“.

Notatki literackie.

Kazimierz Tetmajer zebrał swoje interesujące artykuły o „poetach Tatr“, o „Wyspiańskim“, „Pieśni i czynie Konopnickiej“, „Bolesławie Prusie“, oraz „Szkice o Bonapartem“. Artykuły te zjawiały się w różnych czasopismach; wydano je po raz pierwszy w książkowej obitce. Dla miłośników pióra Tetmajera jest to cenny nabytek. Tetmajer bowiem nawet w drobnym artykule jest arcyciekawą indywidualnością. Prace przytem zebrane informacyjnie mogą też zainteresować. „Poeci Tatr“ zostali przez Tetmajera zgrupowani umiejętnie i z miłością dla przedmiotu. Wyróżnia się szkic Tetmajera o Wyspiańskim. Jest w nim polot i miłość dla sztuki. Tetmajer mówi: „W Europie nieznany wprawdzie dotychczas prawie jeszcze zupełnie, jest Wyspiański obok Sienkiewicza jednym z najgłośniejszych nazwisk literackich polskich w obecnej porze“. Notatki literackie Tetmajera zasługują na szeroką popularyzacyę.

Kalendarz Skauta.

Na rok 1917 związek harcerstwa polskiego wydał urzędowo swój „Kalendarz Skauta“. Jest wydawnictwo to bardzo pożyteczne, gdyż daje kalendarz o danych historycznych, opracowanych na każdy dzień roku. Na czele zaś zamieszczono podobiznę T. Kościuszki, naczelnika narodu, wielkiego harcerza polskiego. Prawo harcerskie, hymny narodowe polskie, cytaty z pism różnych wielkich ludzi — wytwarzają atmosferę moralną, zdrową i budującą. W kalendarzyku zamieszczono też „technikę Skauta“ i „pomoc w nagłych wypadkach“. Dla orientacji dodano rzeczowe omówienie wszystkich prac w języku polskim o skautyzmie. Kalendarzyk ten dla młodzieży jest cennym nabytkiem.

„Sfinks“.

Wydawnictwo miesięcznika „Sfinks“ kończy swój rocznik obfitym numerem, podwójnym, w którym znajdują się prace: 5 listopada 1916 M. Barskiego, „Pro patria“, rzecz o Sir Rogerze Casemencie pióra p. Augusta Popławskiego, „O dwoistości życia“ Artura Górskiego i „Kronikę literatury angielskiej“ Adolfa Nowaczyńskiego. Szczególniej praca o Casemencie i Kronika literatury angielskiej wyróżniają się soczystością ujęcia przedmiotu. W dziale powieściowym znajdujemy dalszy ciąg powieści Tadeusza Żuk-Skarszewskiego p. t. „Rumak Światowida“. Miesięcznik „Sfinks“ wychodzi pod redakcją Augusta Popławskiego.

